

Maria Krażkowska i Krzysztof Pisankiewicz Rozwód z siebie...

Muszę się rozwieść. Dajcie mi adwokata — oświadczyłam w Re-dakcji.

— Cóż za koncept?
— Do świątecznego numeru. Ale adwokat musi być „odpowiedzialny”.

Dano mi adres takiego. Sławy i znakomitości w tej dziedzinie.

Mała poczekalnia szara jest i smutna. Na oknie stoją rachityczne kwiatki, przez mętne szybki wpada niewiele światła. Przeży-wam tremę — chodzę przecież o to, aby zwierzenia, które zrobię panu mecenasowi, były dostatecznie przekonujące. Dzwonek u drzwi. Przychodzi sam pan mecenas. Poczekalnia, jak się okazuje, jest jednocześnie gabinetem. Nie widać luksusu ani tłoku u „sławy”.

Siadamy naprzeciwko siebie. Ja drżąca i skulona, przejęta rolę. Mecenas dobitnie uśmiechnięty.

Personalia

— Czym mogę pani służyć?
— Chodzi o rozwód. Pragnę-bym się rozwieść. Wszyscy mi jednak odradzają, że to zbyt trudna i ciężka sprawa.

Pan mecenas nachyla ku mnie ponad biurkiem swoją głowę. Po przez rzadką szczotkę krótkich siwych włosów prześwi-tuje lśniąca żółtawa skóra. Wąskie usta rozchylają się zachęca-jącym uśmiechem.

— Mówią zapewne tak ci, któ-rzy jeszcze dotąd nie spróbowali zerwać z utartym szablonowym życiem. Rozwód jest rzeczą prostą, proszę mi wierzyć. Mam ich wiele za sobą. Nazwisko i a-dres pani?

Nie bardzo pewnym głosem po-daję swoje personalia.

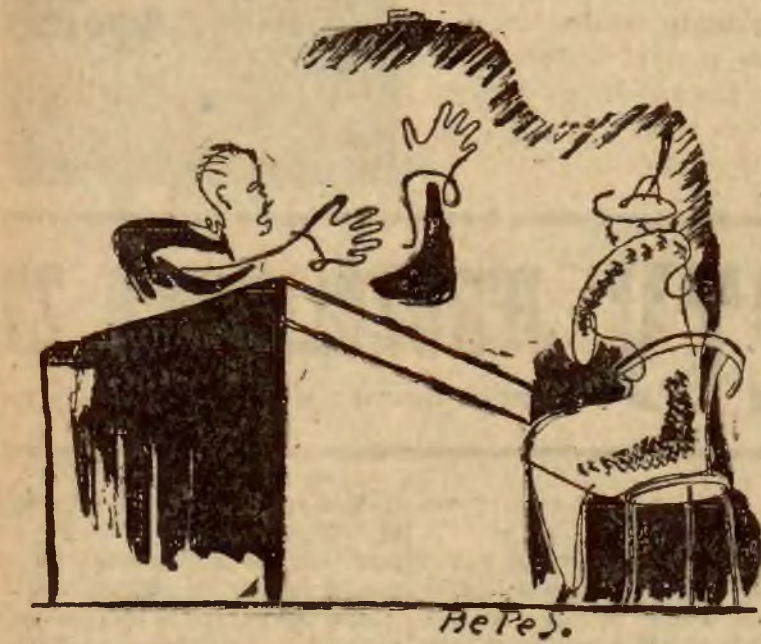
— Maria Krażkowska, Częstocho-wa, Aleje Kościuszkі 14.

Oddycham z ulgą na myśl, że utrwalone u pana mecenasu dane nie mają nic wspólnego z mo-ją rzeczywistą osobą.

Kosztowny pośpiech

— Jakże pani może podać po-wody?

— Istnieje między nami zbyt wielka różnica poglądów na świat. Mąż sam się lubi bawić, wraca późno wieczorami, nigdy



nie wiem, gdzie spędza czas i co robi. Mnie zapęda do garnków, robi awantury o każdy urwany guzik przy marynarce, czy obiad, który mu nie smakuje. Jestem do prawdy nieszczęśliwa.

Wpadał w rolę tak, iż mece-nas raz jeszcze czule przechyla się w moją stronę.

— Nie warto się tak przejmować. Zmienić męża to nie taka trudna sprawa. Jest pani młoda. Spoznałszy ożby mecenasu sondują mnie jak roentgen.

— Czy pani ma dzieci?

— Nie.

— To sprawę upraszcza.

— A... czy... pani... musi wyjść jak najprędzej za mąż po raz wtó-ry?

— Pani mnie nie rozumie? Ach, to nic. To znaczy, że nie potrzebujemy się tak bardzo spieszyć. Tym lepiej, oszczędzi to pa-ni kosztów. Wielki pośpiech mu-siałby podwyższyć cenę rozwodu, niemal dwukrotnie.

Za zgodą małżonka

— A jakie będą koszty? — py-tam.

Bystre oczy mecenasu przywie-

raja twardo do niej twarzy.

— Czy pani jest przygotowana finansowo? Czy ma pani rodzinę, która mogłaby pani pomóc. Jak-że są pani zasoby finansowe?

Czuje jednocześnie, że wzrok mecenasu lustruje dokładnie wszystkie szczegóły mego toalety, szacuję moje futro. Nie omija na-wet pierścionka na palcu.

— Mam kilka tysięcy własnych pieniędzy w banku.

Skupiona twarz mecenasu roz-jasnia się przyjemnie.

— A co pan mecenas mi propo-nuje?

— Otóż najprostszym sposo-bem jest zwrócić się do konsysto-rza w Wilnie ewangelicko-reformowanego.

— A kościół narodowy?

Pan mecenas nieoczekiwanie marszczy czoło.

— Ach, nie. Z nimi teraz miałem kilka spraw nie zupełnie do-brze wypadających. Spróbujmy raczej tej najprostszej drogi.

— A więc koszty rozwodu w Wilnie wyniosłyby ile?

— Zmiana wyznania, rozwód, koszty dla świadków, moje hono-rarium — w przybliżeniu wszyst-ko około 800 złotych, o ile, jak za-zwyczajem, uzyska pani zgodę męża.

Rady praktyczne

— Cóż więc mam robić teraz?

— Przede wszystkim zrobić to, czego pani dotąd nie zrobiła. Wy-prowadzić się od męża i to jak najprędzej. Jak można z nim po-zostawać do tej pory pod jednym dachem? Każdy dzień dłużej sprządać może komplikacje i utrudnienia, — niech pani o tym nie zapomina. Jak dotąd, ma pa-ni tych komplikacji nie wiele, trzeba ich zatem za wszelką ce-nę unikać. Musi mieć pani świadka rozmowy. Rozmowę przeprowadzić trze-ba tak, aby mąż pani jak naj-mniej mógł w niej zabierać gło-su, musi być to dobrze przysto-wany atak.

Uciśniona cnota

Pani jest osobą uciśnioną, ofiarą, sama czysta jak łąka, bez żadnej winy — proszę o tym nie zapominać. Dobrze będą przy tej rozmowie ły. Były nie za obfite, byle nie przerywa-

trzebna strata około 200 zł. mie-sięcznie.

— A jeżeli jednak spostrzeże się wcześniej i takiej zgody za-żąda?

Na wąskich ustach mecenasu pojawia się chytry uśmiezek.

— Ostatecznie i z tym sobie da-my radę. Da mu pani taką zgodę, oczywiście, nie notarialną, a po-tem dowiedzimy, że zgoda ta by-ła wymuszona, że żyje pani w ciężkich warunkach i były mąż będzie musiał płacić alimenty.

„Droga do szczęścia”

— Panie mecenasie, a jeśli mój mąż nie zechce dać zgody?

— Ha, wtedy oczywiście nie-ma mowy o wszystkich tańszych sposobach rozwodu.

Twarz mecenasu sztywnieje i słyszę nagłe zimne pytanie:

— Ale pani chce dostać roz-wód za wszelką cenę?

Słowo „cena” brzmi najmoc-niej.

A więc mam się rozwieść. Na-zywanie „należnego”

— Stoję przed drzwiami, na któ-rych duża tablica „b. Adwokat” obwieszcza, że tu właśnie przy-jmuje owa „znakomitość” w dzie-łzinie przeprowadzania w ołpo-wiedni sposób „delikatnych” spraw rozwodowych. Ostatnie chwile wahania: czy nie parsknę śmiechem, opowiadając z przeję-ciem o swoim nieszczęśliwym po-życiu (fikcyjnym zresztą, bo jestem kawalerem) i perypetiach rozwodowych. Zdecydowałem się. Dzwonię.

Otwiera mi drzwi sam „pan mecenas”. Zaczynam od stereoty-powego pytania:

— Proszę pana, ja w takiej de-likatnej sprawie... Chciałem za-sięgnąć porady pana mecenasu — mówię zmieszonym tonem, z moż-liwymi najbardziej tragicznym wyrazem twarzy.

To ja właśnie

— W sprawie rozwodowej za-pewne. Tak, jestem do usług. To ja właśnie, proszę pana bardzo, pan pozwoli — wyrzuca szybko potok słów „pan mecenas”, zapra-szając mnie miłym ruchem do swego gabinetu i wskazując głę-boki, trzcinowy fotel, przeznaczony widocznie zawsze dla „ofiar” tragicznych przeżyć niedo-branego małżeństwa.

„Pan mecenas” zajmuje miej-sce za biurkiem, chwytając blok bia-łego papieru i rozpoczyna inda-gację:

— Pan dawno żonaty? Proszę o podanie mi daty ślubu, nazwis-ka, nazwiska panińskiego żony. Czy państwo mają dzieci? — to ostatnie pytanie rzuca nie wiem dlaczego niespokojnie, przygląda-jąc mi się badawczo.

Zaczynam swoją opowieść ury-wanymi zdaniem, zamyślając się co chwila, pocierając czoło, jak-by w najwyższym zdenerwowa-niu — w ogóle „gram na cale-go” i w tej chwili jestem już najlepszej myśli, że „pan mece-nas” nie zorientuje się zupełnie w mistyfikacji.

Skarga Krzysztofa Pisankiewicza

— Nazywam się Krzysztof Pi-sankiewicz i jestem pracowni-kiem jednej z prywatnych instytu-cji. Zresztą powiem panu, prze-cież przed panem nie trzeba z ni-czego robić tajemnicy. Pracuję w „Wierzbickich Zakładach Górni-czo-Hutniczych”.

Prócz tego, że jestem urzędni-kiem, widzi pan, piszę jeszcze... pewną pracę. Jakby tu panu po-wiedzieć... pracę z dziedziny li-teratury i nie mogę znaleźć spo-koju, nie mogę pisać spokojnie, nie mogę myśleć. Od dwóch mie-sięcy nie napisałem ani słowa, to jest straszne — wpadam na do-bre w ton uciśnionego męża.

— Źródłem niepokoju jest pew-no osoba małżonki szanownego pana — wtrąca kłiwie „pan mece-nas”.

Ja chcę mieć żonę

— Tak proszę, pana, — ta ko-bieta, poza przyjaciółkami, dan-cingami, modniarkami, five’amii w ogóle lataniem gdzieś poza do-mem nie widzi nic. A skąd ja mo-

— Za wszelką cenę — odpo-wiadam.

Mecenas jest znowu uprzej-my. Mówi do mnie dobrym, ojcow-skim tonem. Jestem rozrzuwio-na.

— Proszę pani, szczęście ludz-kie to rzecz najważniejsza. Każ-dy środek w walce o szczęście jest dobry. Mąż panią zaniedbu-je — prawda? Jest to rzecz o-kropna, godna potępienia. Wy-starczy, jeśli uda nam się fakt stwierdzający to zaniedbanie wy-dobyć na jaw. Czy mąż panią zdradza? — rzuca mi pytanie, pa-trząc prosto w oczy tak, iż nagle dostaje uczucia, jak gdyby mi zajął świdrującym spojrzeniem w głębi duszy.

— Chyba tak.

— Ach, nie chyba. Znajdziemy na to dowody. Czy zdradza panią z jedną osobą stale, jeśli tak, po-staramy się o kogoś, kto go wysłę-dzi. A może ma zmienne usposo-

gę wiedzieć — wtrącam cicho i boleśnie — czy poza tym wszyst-kim nie kryją się jacyś przyja-ciele i... w ogóle zdrady. Ja chcę żyć spokojnie, mieć dom, przywo-łaną opiekę ze strony żony i... żo-nę, na prawdę żonę, a nie damę, którą widuję tylko kilkanaście mi-nut w przeciągu doby, bo resz-ty... wypełniają jej zabawy.

— Państwo dawno po ślubie?

— wraca do swoich pierwszych pytań „pan mecenas”.

— 24-go maja 1933 roku pobra-liśmy się. Mamy dwuletnią có-reczkę, żona moja ma na imię Aurelia.

Skrzypiące pióro mecenasu no-tuje szybko te wszystkie szczegó-ły na arkuszu papieru.

— Więc pan chciałby się roz-wieść?

— Tak. Koniecznie. I widzi pan, to jest najgorsze, że właśc-wie przeciw ja... ja żadnych for-malnych i prawnych — prawo wie pan, jest takie dalekie od ży-cia — zaczynam ja teraz bujać „mecenasu” — dowodów prze-ciwnie żonie nie mam. A ja mu-szę się rozwieść.

— Jakto, pan nie ma dowo-dów? Żona pana zaniedbuje i jest źródłem smutku, zgrzyot, nie pozwala panu na spokojną pracę. A przecież dowody jej winy bę-dzie można znaleźć. Pan pewno ma przyjaciół, znajomych, któ-rym pan mówił, lub może powie-dzieć o swoich kłopotach małżeń-skich. Chyba znajdzie pan kogoś dostatecznie inteligentnego, żeby potrafił to potem przed sądem powtórzyć. A gdzie pan mieszka?

Jeszcze razem

— Sosnowa 13 mieszkania 5 — rzucam na poczekaniu skompono-wany adres.

— Więc jest z c z e razem z żo-ną? Musi się pan przede wszyst-kim wyprowadzić. Wie pan jak to trzeba zrobić?

— Nie bardzo. Ja, wie pan nie znam się zupełnie na tych praw-nych rzeczach.

— Więc zrobi pan tak. W cza-sie nieobecności żony, spakuje pan wszystkie swoje osobiste rze-zy, bieliznę pościelową, ubranie i każe pan to wynieść do jakie-goś hoteliku. Może być „Mazo-wiecki” albo „Central”, lepiej jesz-cze, jeśli pan sobie przed tym pój-koj wynajmie. Potem musi pan zabrać swoje łóżko.

— My mamy tapczan — wtrą-cam, powstrzymując się siłą od wybuchu wesołości.

Jeśli nie — to nie

— To nie komplikuje sprawy. Tapczan jest pana — prawda? Więc zabierze pan tapczan — mówi, nie czekając na moją odpo-wiedź „pan mecenas”. — I zosta-wię pan żonę list, że wobec jej postępowania, nie może pan dłu-żej znosić takich warunków ży-cia i dlatego wyprowadza się.

Ten list musi być „dobrze” napi-sany. „Pan z tego listu” musi być nieszczęśliwy. Przez pierw-szy miesiąc — płynie dalej nie-przerwany potok wymowy moje-go informatora — będzie pan płacił żonie alimenty, dwieście złotych na przykład. A po pierw-szym miesiącu — sycząc chytro-ścią i podstępem, podsuwa mi

bień? Sprawa byłaby jeszcze ja-śniejsza.

— A teraz, proszę się nie mart-wić, głowa do góry, jasne spoj-rzenie w przyszłość. Czy pani po-

każ posadę biurową, ma n rozle-głe stosunki. No, i te alimenty... A potem drugi mąż i nowe ży-cie...

POZNAJ FRANCJĘ
IDEALNY KRAJ TURYSTYKI
wyjątkowe ułatwienia z okazji
Międzynarodowej Wystawy w Paryżu
INFORMACJE:
OFICJALNE BIURO KOLEI FRANCUSKICH
WARSZAWA, OSSOLIŃSKICH 4 TEL. 6-84-85

siada jakieś przygotowanie za-wodowe?

— Znam języki.

— Doskonale. O posadę dla ko-biety łatwo dziś bardzo... Znaj-dziemy pani korepetycję. Może ja

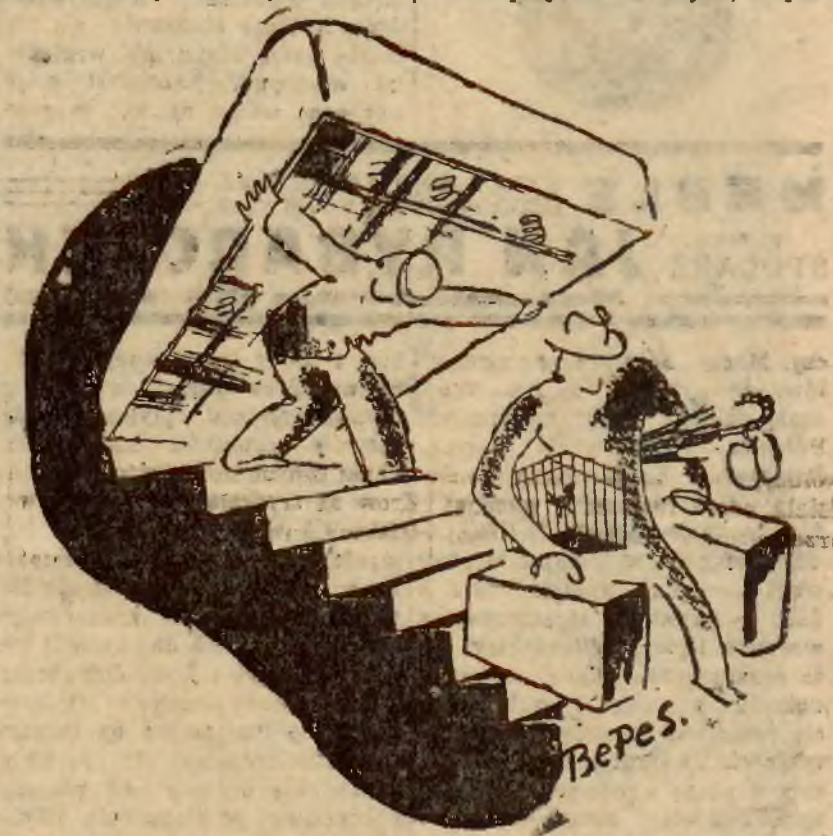
Znałam kilka prawdziwych „Marii Krażkowych”. Czarujące

perspektywy przedrozdowowe oka-zały się korzystne znacznie bar-dziej dla „pokątnych mecenasów” niż dla nich samych.

„pan mecenas” — przerwie pan wypłacanie alimentów i wtedy musi pan odbyć rozmowę z żoną. Powie pan jej, że jeśli da swoją zgodę na rozwód, to będzie otrzy-mywała dalej alimenty. Jeśli nie

— Ale ja muszę zatrzymać có-reczkę przy sobie.

— Oo, to będzie znacznie trud-niej. To pogarsza i podraża spra-wę. Zasadniczo córka powinna zostać przy matce. Chyba, że pan



— to nie. Tylko tego nie można, pisać, broń Boże, ta rozmowa mu-si się odbyć bez świadków.

— A jeśli żona się nie zgodzi mimo to? A ja koniecznie chcę zatrzymać przy sobie córeczkę. W jakim kościele będzie można najłatwiej przeprowadzić ten rozwód? Może w kościele narodo-wym?

— O nie, nie. Tam wymagają rejentalnej zgody. Najlepiej to będzie w kościele ewangelicko-re-formowanym w Wilnie.

— A jakie koszty?

— Opłaty dotyczące sprawy, jakieś 450 złotych, zmiana wyznania — sto złotych, opłaty stemplowe, no i moje honorarium — jakieś dwieście złotych. Raz-em jakieś 750 do 800 złotych.

Sumę tę notuje „pan mecenas” skwapliwie na arkuszu papieru.

Przecież pan dobrze zarabia

— Wnieśmy sprawę do kon-systorza — ciągnie dalej „mece-nas” — świadków powinien pan znaleźć, to nie jest zresztą zbyt trudne. Przecież pan dobrze za-rabia.

— A jeśli mimo to żona się nie zgodzi?

— To wtedy zmusimy ją do te-go. Jak zobaczy, że sprawa jest już w konsystorzu, że są dowody jej winy, to wtedy będzie zupeł-nie... inaczej rozmawiać. A zresz-tą, gdy wstrzyma jej pan alimenty, nie będzie miała pieniędzy na adwokata i prowadzenie sprawy.

To nam znacznie ułatwi sytu-ację. Pan będzie wtedy spokojny, założy sobie nowy dom, będzie pan mógł pracować. Znajdzie pan inną, prawdziwą żonę. A prze-cież za dwa lata wejdzie w życie nowe prawo małżeńskie — to też ułatwia sytuację — rysuje prze-de mną obrazy przyszłego szczę-ścia po pozbyciu się żony-hete-rz. „pan mecenas”.

— Więc ja jeszcze zdecyduję się ostatecznie za jakieś kilka dni do pana wpadnę — kończę moją wizytę u „mecenasu”.

Tak się skończyła moja wizy-ta u specjalisty rozwodowego.

Szanowni Czytelnicy! Krzys-tof Pisankiewicz, nieszczęśliwy w małżeńskim pożyciu urzędnik i literat, w jednej osobie, i jego rozbawiona małżonka Aurelia, oboje zamieszkali przy ul. Sosno-wej 13 — 5 nie istnieją.

Całą tę opowieść o sposobach i sposobach „p. mecenasu”, a zapewne i wielu podobnych jemu „grasantów” dajemy Czytelnikom aby pokazać jak w wirze i za-błągniętych zaułkach dzisiejsze-go życia uwijają się „mecenasi”, u których rozwód, rozbicie rodzi-ny jest tylko kwestią kosztów.